



FINALISTKA
NAGRODY
BOOKERA
2017

*Najważniejsze
słowa
pozostaną
niewypowiedziane*

HISTORIA WILKÓW

EMILY FRIDLUND

Tytuł oryginału: History of Wolves

Tłumaczenie: Olga Kwiecień

Projekt okładki i ilustracja: ULABUKA

ISBN: 978-83-283-4645-1

Copyright © 2017 by Emily Fridlund
All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Polish edition copyright © 2019 by Helion SA
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Helion SA dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Helion SA nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1

TO NIE TAK, ŻE NIE MYŚLĘ NIGDY O PAULU. Przychodzi do mnie czasem, zanim jeszcze się w pełni obudzę, chociaż niemal nigdy nie pamiętam, co powiedział ani co z nim zrobiłam czy czego nie zrobiłam. W moim umyśle dzieciak po prostu ładuje mi się na kolana. Bum. Takim go znam: nie ma w nim zainteresowania mną ani wahania. Siedzimy w Centrum Natury późnym popołudniem nie różniącym się niczym od innych, a jego ciało automatycznie przysuwa się do mojego — nie z miłości czy szacunku, lecz po prostu dlatego, że jeszcze nie nauczył się zasad etykiety, które wskazują, gdzie kończy się jego ciało, a zaczyna inne. Ma cztery lata, puzzle z sową do ułożenia i nie ma ochoty rozmawiać. Nie rozmawiam z nim zatem. Za oknem lawina pyłków topoli przewala się w powietrzu bezgłośnie i zwiewnie. Światło słoneczne przesuwa się, kawałki układanki łączą się w sowę i znowu rozłączają. Szturcham Paula, by wstał. Czas iść. Już czas. Jednak w tej chwili, nim wstaniemy, zanim jeszcze zacznie protestować i prosić, byśmy zostali chwilę dłużej, opiera się o moją pierś i ziewa. I wtedy gardło mi się zaciska. Bo to dziwne, wiesz? To cudowne — i zarazem smutne — jak miło jest poczuć, że twoje ciało przyjmowane jest za pewnik.

* * *

Przed Paulem znałam tylko jedną osobę, która z żywych stała się martwa. To był pan Adler, mój nauczyciel historii z ósmej klasy. Nosił sztruksowe marynarki i białe tenisówki. Powinien nauczać historii Ameryki, jednak wolął mówić o carach. Pokazał nam kiedyś zdjęcie ostatniego cara Rosji — i tak teraz widzę pana Adlera: z czarną brodą i frędzlastymi epoletami, chociaż tak naprawdę był zawsze starannie ogolony i poruszał się ciężko. Byłam na angielskim, gdy któryś z jego uczniów z czwartej klasy wparował do sali, krzycząc, że pan Adler upadł. Wszyscy wylegliśmy na korytarz, gdzie leżał twarzą do ziemi z zamkniętymi oczami, ssąc zasinalymi wargami chodnik.

— Czy on ma epilepsję? — zapytał ktoś. — Czy ma leki?

Wszyscy czuliśmy obrzydzenie. Harcerze klócili się o właściwe techniki reanimacji, podczas gdy reszta utalentowanych i zdolnych uczniów omawiała symptomy histerycznym szeptem. Musiałam się zmusić, by do niego podejść. Przykucnęłam i ujęłam jego rękę, która była jak kawałek suchego mięsa. Był początek listopada. Chodnik pociemniał od jego śliny, a on łapał powietrze w coraz większych odstępach czasu. Pamiętam jakby odległy zapach dymu. Ktoś gdzieś palił śmieci w plastikowych workach — może woźny pozbywał się liści i skórek po dyniach przed pierwszym większym śniegiem.

Gdy personel karetki załadował jego ciało na nosze, harcerze potruczali za nimi niczym szczenięta, licząc na to, że przydzielone im zostanie jakieś zadanie. Pragnęli jakichś drzwi, które mogłyby otworzyć, czegoś ciężkiego, co mogłyby usunąć z drogi. W holu dziewczęta stały w grupkach, pociągając nosami. Kilku nauczycieli tkwiło, przyciskając dłonie do piersi i nie wiedząc, co powiedzieć lub zrobić.

— Czy to piosenka Doorsów? — zapytał jeden z ratowników. Został z tyłu i rozdawał paczki słonych krakersów uczniom, którym kręciło się w głowie.

Wzruszyłam ramionami. Chyba musiałam coś nucić na głos.

Dał mi pomarańczowy napój Gatorade w papierowym kubku.

— Pij powoli. Małymi łykami — mówił do mnie tak, jakby to mnie przyjechał ratować. Jak gdyby jego obowiązkiem było wykończyć chorobę z każdej żywej istoty, na jaką natrafi.

* * *

Wtedy nazywano nas światową stolicą sandacza amerykańskiego. Taki znak stał na zjeździe z drogi numer dziesięć, a na ścianie przydrożnej restauracji widniał mural z trzema grzebieniastymi rybami, które zdawały się pletwami pozdrawiać turystów. Miały brwi i uśmiechy, zęby i dziąsła. Jednak od listopada, kiedy to wielkie jeziora zamrzwały, nikt z miasta nie przyjeżdżał na ryby — ani w ogóle po nic. Nie mieliśmy tu wtedy ośrodka, tylko obskurny motel. Idąc w kierunku centrum, natrafiało się na restaurację, sklep z artykułami żelaznymi, sklep wędkarski z przynętami i kołowrotkami, bank. Najbardziej wartym uwagi budynkiem w Loose River był wtedy chyba stary drewniany młyn, a i to dlatego, że był w połowie spalony i jego czarne zwęglone ściany górowały nad brzegiem rzeki. Niemal wszystkie instytucje, szpital, wydział komunikacji i Burger King znajdowały się w oddalonym o ponad dwadzieścia mil Whitewood.

W dniu, w którym ratownicy pogotowia z Whitewood zabrali w karetce pana Adlera, wyjeżdżając z parkingu szkolnego, zatrąbili. Wszyscy staliśmy w oknach i patrzyliśmy: nawet hokeiści w swoich pożółkłych kaskach, nawet cheerleaderki z naelektryzowanymi grzywkami. Zaczął padać śnieg, bardzo gęsty. Nim karetka zniknęła za zakretem, omiotła światłami roztańczone szalone płatki wirujące nad drogą.

— Czy nie powinni jechać na sygnale? — zapytał ktoś, a ja pomyślałam sobie, sącząc ostatni łyk gatorade z papierowego kubeczka: *ależ ludzie są głupi.*

* * *

Pana Adlera zastąpił pan Grierson. Przyjechał miesiąc przed Bożym Narodzeniem, przywożąc ze sobą ciemną opalenizną jak z innego świata. Miał złote kółko w uchu i śnieżnobiałą koszulę z perłowymi guzikami. Później dowiedzieliśmy się, że przyjechał z Kalifornii, gdzie uczył w prywatnej szkole dla dziewcząt nad morzem. Nikt nie wiedział, co zagnało go aż do północnej Minnesoty w środku zimy, jednak po pierwszym tygodniu prowadzenia zajęć pozdejmował ze ścian mapy carskiej Rosji i zastąpił je olbrzymimi kopiami amerykańskiej konstytucji. Pewnego razu ogłosił, że w college'u studiował też aktorstwo, co wyjaśniało, dlaczego któregoś dnia stanął przed klasą z rozpostartymi ramionami i wyrecytował z pamięci całą Deklarację Niepodległości. Nie tylko te wzniosłe fragmenty o życiu, wolności i dążeniu do szczęścia, lecz również kaśliwe i nieprzyjemne listy występów przeciwko koloniom. Widać było, jak bardzo pragnie być lubiany.

— Co to oznacza? — zapytał pan Grierson, gdy dotarł do fragmentu o zobowiązaniu się jeden przed drugim naszym świętym honorem.

Hokeiści spali snem niewiniątek z głowami spoczywającymi na złożonych ramionach. Nawet grupa utalentowanych i zdolnych była nieporuszona i pstrykała swoimi automatycznymi ołówkami, aż czubki wysuwały się z nich obscenicznie niczym szpitalne igły. Prowadzili międzyrządowe potyczki, sycząc do siebie pogardliwie: „*En garde!*”.

Pan Grierson usiadł na biurku pana Adlera. Po recytacji brakowało mu tchu i nagle uświadomiłam sobie — w dziwnym olśnieniu, tak jakby nagle omiotło go zbyt jaskrawe światło — że jest w średnim wieku. Widziałam na jego twarzy pot i pulsowanie tętna pod szarym cieniem zarostu na szyi.

— Hej, ludzie. *Dzieciaki*. Co to znaczy, że prawa człowieka są *oczywiste*? No, dalej, przecież to wiecie.

Widziałam, jak jego spojrzenie spoczywa na Lily Holburn, która miała gładkie czarne włosy i mimo zimna była ubrana w niemal przezroczysty purpurowy sweterek. Zapewne sądził, że jej piękno może

go uratować, że ponieważ była ładniejsza od większości z nas, będzie również miła. Lily miała duże brązowe oczy, dysleksję i chłopaka, za to nie miała ołówka. Pod spojrzeniem pana Griersona jej twarz z wolna poczerwieniała.

Mrugnęła. Skinął w jej stronę głową, obiecując tym samym, że zgodzi się ze wszystkim, co powie. Oblizła wargi niczym spłoszona lania.

Nie wiem, dlaczego podniosłam rękę. Nie chodziło o to, że było mi jej żal. Albo jego. Raczej o to, że przez chwilę napięcie stało się nie do wytrzymania, urosło niewspółmiernie do sytuacji.

— To oznacza, że niektórych rzeczy nie trzeba udowadniać — odezwałam się. — Niektóre rzeczy są po prostu prawdziwe i nie można ich zmienić.

— No właśnie! — powiedział z wdzięcznością, byłam pewna, że skierowaną nie do mnie, lecz do jakiegoś szczęśliwego zrządzenia losu, które mu się przytrafiło. Potrafiłam to robić: dawać ludziom to, czego chcieli, w taki sposób, że nie wiedzieli, iż to pochodziło ode mnie. Nie mówiąc słowa, Lily potrafiła sprawić, by ludzie poczuli się śmielsi, pełni chwały. Miała dołeczki w policzkach i sutki, które prześwitywały przez sweterek niczym sygnały od Boga. Ja miałam płaską klatkę piersiową i byłam równie atrakcyjna co poręcz. Sprawiałam, że ludzie czuli się osądzani.

* * *

Zima tego roku spadła na nas nagle. Przyklekła, jakby wyczerpana, i już została. W połowie grudnia spadło tyle śniegu, że dach nad salą gimnastyczną ugiął się i zajęcia w szkole odwołano na tydzień. Jako że nie było szkoły, hokeiści zajęli się łowieniem ryb w przeręblach, a harcerze grali w hokeja na stawach. Potem przyszło Boże Narodzenie i kolorowe lampki rozwieszzone wzdłuż ulicy Głównej, jak również konkurujące szopki w kościołach luteranów i katolików — w jednej pomalowane worki z piaskiem udawały owieczki, w drugiej

dzieciątko Jezus wyrzeźbione było z kawałka lodu. Nowy Rok przyniósł kolejną burzę śnieżną. Zanim w styczniu zostały wznowione zajęcia szkolne, wyprasowane białe koszule pana Griersona zostały wyparte przez nijakie swetry, a kółko w jego uchu zastąpił kolczyk na szyfcie. Ktoś musiał go nauczyć obsługi kserokopiarki Scantron, bo po tygodniu wykładów o Lewisie i Clarku urządził nam pierwszy sprawdzian. Podczas gdy garbiliśmy się w ławkach, zakreślając małymi kółeczkami poprawne odpowiedzi, on przechadzał się wzdłuż rzędów, pstrykając długopisem.

Następnego dnia pan Grierson kazał mi zostać po lekcji. Usiadł za biurkiem i dotknął warg, które były wyschnięte i odchodziły z nich skórki.

— Nie poszło ci zbyt dobrze na sprawdzianie — oznajmił.

Czekał na jakieś wyjaśnienie. Uniosłam ramiona obronnym ruchem, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, dodał:

— Słuchaj, przykro mi. — Przekręcił w uchu kolczyk, delikatny, z trudnym zapięciem. — Wciąż staram się opracować plany lekcji. O czym uczyliście się, zanim się pojawiłem?

— O Rosji.

— Ach. — Po jego twarzy przemknął wyraz pogardy, natychmiast wyparty przez grzeczność. — W głębi kraju wciąż przejmujecie się zimną wojną.

— Nie zajmowaliśmy się Związkiem Radzieckim. Chodziło o *carów*. — Wzięłam w obronę pana Adlera.

— Och, Mattie. — Nikt mnie nigdy tak nie nazywał. To było, jakby ktoś znienacka poklepał mnie od tyłu po ramieniu. Mam na imię Madeline, ale w szkole nazywano mnie Lindą, Komuchem albo Dziwadłem. Zwinęłam dłonie w pięści w rękawach. Pan Grierson mówił dalej: — Przed Stalinem i bombami carowie nikogo nie obchodzili. Byli niczym marionetki na odległej scenie, kompletnie bez znaczenia. Potem wszyscy Adlerowie poszli do college’u w 1961 roku i nagle wszędzie zapanowała nostalgia za starymi rosyjskimi zabawkami i księżniczkami z chowu wsobnego z minionego stulecia. Ich

bezradność sprawiła, że stali się interesujący. Rozumiesz? — Uśmiechnął się, przymykając lekko oczy. Jego przednie zęby były białe, a kły żółte. — Ale przecież ty masz dopiero trzynaście lat.

— Czternaście.

— Chciałem tylko powiedzieć, że przykro mi, że to się źle zaczęło. Wkrótce zaczniemy się lepiej rozumieć.

* * *

W następnym tygodniu poprosił mnie, bym przyszła do jego sali po lekcjach. Tym razem kolczyk nie był w jego uchu, lecz leżał na biurku. Pan Grierson bardzo ostrożnie palcem wskazującym i kciukiem obmacywał płatek ucha.

— Mattie — powiedział, prostując się.

Polecił mi usiąść na niebieskim plastikowym krzeselku obok jego biurka i położył mi na kolanach stos kolorowych lśniących broszur. Następnie złączył palce obu dłoni i zaczął się wiercić.

— Czy wyświadczysz mi przysługę? Nie miej mi za złe, że cię o to zapytam, to moja praca.

I wtedy zapytał mnie, czy nie chciałabym reprezentować szkoły w Odysei Historycznej.

— Będzie świetnie — powiedział bez przekonania. — Musisz tylko przygotować plakat, a potem wygłosić referat o uciekinierach z czasów wojny w Wietnamie, przekroczeniach kanadyjskiej granicy i tak dalej. A może wolałabyś mówić o profanacji grobów Odzibwejów? Albo tych ludziach, którzy postanowili wyprowadzić się z miasta na wieś i wrócić do uprawiania ziemi i osiedlili się tutaj? Dobrze, żeby to było coś lokalnego, coś niejednoznacznego etnicznie, coś z odniesieniami do konstytucji.

— Chcę mówić o wilkach — powiedziałam.

— Co? O historii wilków? — zapytał, zaskoczony, po czym potrząsnął głową i uśmiechnął się. — Ach, tak. Jesteś czternastoletnią

dziewczynką. — Skóra pod jego oczami zmarszczyła się. — Wszystkie kochacie konie i wilki. Podoba mi się to. Podoba. To takie dziwne. Ale *skąd* to się bierze?

* * *

Ponieważ moi rodzice nie mieli samochodu, oto w jaki sposób dostawałam się do domu, jeśli spóźniłam się na autobus. Najpierw szłam trzy mile wzdłuż odśnieżonej drogi numer dziesięć, a potem skręcałam w prawo w Still Lake Road. Po kolejnej mili droga się rozwidlała: lewa odnoga szła wzdłuż jeziora na północ, a prawa, nieodśnieżana, wspinała się na wzgórze. To tutaj stawałam, wciskałam nogawki dżinsów w skarpety i poprawiałam mankiety wełnianych rękawiczek. W zimie gałęzie wyglądały na tle pomarańczowego nieba niczym żyły. Niebo między gałęziami wyglądało jak opalone słońcem. Trzeba było dwudziestu minut przez śnieg i sumak, nim psy zaczynały mnie słyszeć i szarpać się na łańcuchach.

* * *

Nim dotarłam do domu, było już ciemno. Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam mamę pochyloną nad zlewem, z rękoma zanurzonymi aż po łokcie w atramentowej cieczy. Długie proste włosy okalały jej twarz i szyję, przez co nabierała wyrazu nieufności i przebiegłości. Jednak w jej głosie wciąż brzmiały samogłoski ze środkowego zachodu, otwarty akcent z Kansas.

— Czy jest jakaś modlitwa na zatkałe rury? — zapytała, nie odwracając się.

Położyłam rękawiczki na piecu; wiedziałam, że tam zeszywnieją i rano nie do końca będą pasowały na moje dłonie. Nie zdjęłam kurtki, bo wewnątrz było zimno.

Moja mama, w kurtce wilgotnej od wody ze zlewu, usiadła ciężko przy stole. Trzymała zatłuszczone ręce w gorze, jakby były czymś

cennym — czymś wijącym się i wciąż żywym — co właśnie wyciągnęła ze stawu. Czymś, czym mogłaby nas nakarmić, parą dorodnych okoni.

— Cholera, potrzebujemy kreta. — Uniosła wzrok do góry, po czym powoli wytarła dłonie w płócienne kieszenie. — Ratunku. Nie-skończenie łaskawy Boże, zlituj się nad tą żalosalną farsą zwaną ludzkim życiem.

Wiedziała, że nie do końca żartowała. Słyszałam opowieści o tym, jak moi rodzice w skradzionej furgonetce przybyli do Loose River na początku lat osiemdziesiątych, jak mój ojciec gromadził zapasy broni i trawki, a potem, gdy komuna się rozpadła, moja matka zamieniła resztki swojego hipisowskiego fanatyzmu na chrześcijaństwo. Odkąd sięgałam pamięcią, chodziła do kościoła trzy razy w tygodniu: w środy, soboty i niedziele, ponieważ żywiła nadzieję, że pokuta zadziała, a część przeszłości można odwrócić, powoli, przez lata umartwień.

Moja matka wierzyła w Boga, lecz niechętnie, niczym nastolatka ze szlabanem.

— Czy mogłabyś wziąć jednego psa i wrócić?

— Wrócić do miasta? — Wciąż się trzęsłam. Ta myśl na chwilę wywołała we mnie wściekłość, wymazując wszystko inne. Nie czułam palców.

— Albo nie. — Odrzuciła długie włosy do tyłu i otarła nos nadgarstkiem. — Nie, lepiej nie. Pewnie jest poniżej zera. Przepraszam. Przyniosę jeszcze jedno wiadro. — Ale nie ruszyła się z krzesła. Czekala na coś. — *Przepraszam*, że zapytałam. Nie możesz się złościć, że zapytałam. — Złączyła wytłuszczone dłonie. — Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Z każdym *przepraszam* jej głos wznosił się o kolejne pół tonu.

Odczekałam sekundę, nim odpowiedziałam:

— Nie ma sprawy.

* * *

Oto jak wyglądała sprawa z panem Griersonem. Widziałam, jak pochylał się nad ławką Lily. Słyszałam, jak powiedział: „Świetnie ci idzie”, kładąc dłoń, bardzo ostrożnie, niczym przycisk do papieru, na jej kręgosłupie. Widziałam, jak uniósł palce i lekko ją poklepał. Widziałam, jaki lęk i zaciekawienie odczuwał w stosunku do cheerleaderek, które wszystkie nazywałam Karen, gdy czasami ściągały wełniane getry, odsłaniając zimowo blade nogi pokryte gęsią skórka. Getry podrażniały im skórę, więc zaczynały się drapać, zrywając strupki, do których potem musiały przykładać kawałki papieru toaletowego. Widziałam, jak zwracał się do którejś z Karen lub do Lily Holburn z każdym pytaniem, które zadawał klasie, mówiąc:

— Ktoś, coś? Halo?

A potem przykładał dłoń do ust, udając, że trzyma słuchawkę, zniżał głos i mruzczał:

— Halo? Rezydencja Holburnów? Czy zastałem Lily?

Lily rumienila się i chowała uśmiech z zaciśniętymi ustami w rękawie.

Gdy spotkałam się z nim po szkole, pan Grierson potrząsał głową.

— Z tym telefonem to było głupie, prawda?

Był zakłopotany. Ciągłe szukał potwierdzenia, że wszystko było w porządku, że był dobrym nauczycielem. Pragnął wybaczenia za wszystkie swoje drobne potknięcia i zdawał się myśleć, że ponieważ kiepsko radziłam sobie na sprawdzianach i krzyżowałam ramiona na piersi, moja przeciętność jest celowa.

— Masz — powiedział niezręcznie, przesuwając po biurku wąską niebieską puszkę.

Wzięłam kilka łyków napoju energetycznego, który był tak słodki i pełen kofeiny, że niemal natychmiast zaczęło mi walić serce. Po kilku kolejnych łykach zaczęłam się trząść na krześle. Musiałam zaciśnąć zęby, by nimi nie szczekać.

— Czy pan Adler kiedykolwiek pokazywał wam filmy? — zapytał.

Nie wiem, czemu grałam w tę grę. Nie wiem, dlaczego próbowałam mu dogodzić.

— Pan pokazuje o wiele więcej filmów niż on.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

— Jak ci idzie praca nad projektem?

Nie odpowiadałam. Zamiast tego bez zaproszenia pociągnęłam kolejny łyk napoju energetycznego. Chciałam, by wiedział, że widziałam, jak patrzył na Lily Holburn, że rozumiałam to spojrzenie lepiej niż ona, że mimo iż wcale go nie lubiłam, żart z telefonem uważałam za słaby, a kolczyk za żaloszny, to jednak go rozumiałam. Puszka jednak była pusta. Musiałam przytknąć wargi do metalu i udawać, że przelykam. Za oknem deszcz ze śniegiem padał na zaspę i zamarzał, sprawiając, że cały świat stawał się twardy jak kamień. Za godzinę, może szybciej, miało być ciemno. Psy miały chodzić niecierpliwie w tę i z powrotem na całej długości łańcuchów, czekając. Pan Grierson zakładał kurtkę.

— Idziemy?

Nigdy, ani raz, nie zapytał, jak dostawałam się do domu.

* * *

Pan Grierson podchodził do Odysei Historycznej tak, jakbyśmy oboje wiedzieli, że to uciążliwy obowiązek. Ja skrycie pragnęłam wygrać. Byłam zdeterminowana, by zobaczyć wilka. Nocami wychodziłam na dwór w miękkich butach, kominiarce i puchowej kurtce ojca, prześiąkniętej zapachami jego, tytoniu, pleśni i gorzkiej kawy. To było niczym ubieranie jego ciała, podczas gdy on spał, niczym zdobycie prawa do jego obecności, milczenia i zwalistości. Siadałam na starym wiadrze z lodem obok najbardziej oddalonego domku wędkarskiego i sączyłam z termosu gorącą wodę. Jednak rzadko się zdarzało, aby wilki pokazywały się w tych stronach tak późno w zimie, więc widywałam jedynie odległe pnie i krążące nad nimi stada wron. W końcu musiałam się zadowolić martwym wilkiem. W soboty szłam na raketach śnieżnych do Centrum Natury Służb Leśnych, gdzie przyglądałam się

stojącej w holu wypchanej wilczycy z jej szklanymi oczami, koralowymi pazurami i zapadniętymi czarnymi policzkami odciągniętymi do tyłu niczym w uśmiechu. Peg, która pracowała tam jako przyrodniczka, skarciła mnie kiedyś, widząc, jak próbuję dotknąć ogona wilczycy. Dała mi misiowe żelki i opowiedziała o technikach wypychania zwierząt, o tym, jak rzeźbi się powieki z gliny i kształtuje mięśnie z pianki poliuretanowej.

— Skórę trzeba wyprasować — ostrzegła mnie.

W poranek Odysei Historycznej odciąłem piłą gałąź ze starej sosny, która rosła za naszym domem. Igły spadały w śnieg niczym małe pociski, *xiim, xiim*. Po szkole wsiałam w autobus do Whitewood, targając ze sobą plakat o wilkach i gałąź pomiędzy rzędami wypełnionymi emerytami z domu opieki, którzy patrzyli na mnie krzywo, ale nic nie powiedzieli. W audytorium szkoły średniej w Whitewood oparłam gałąź o mównicę, by stworzyć odpowiednią atmosferę. Puściłam zapętlone nagranie wyjących wilków. Mimo że zaschło mi w ustach, gdy zaczęłam przemowę, nie musiałam korzystać z notatek i nie kiwałałam się w przód i w tył jak chłopiec, który mówił przede mną. Byłam spokojna i skoncentrowana. Wskazywałam rysunki szczeniąt okazujących podporządkowanie i, cytując z książki, powiedziałam:

— Jednak termin *alfa*, opracowany, by opisać zwierzęta w niewoli, może być mylący. Zwierzę alfa może być alfa tylko w określonym czasie lub z określonego powodu.

Te słowa zawsze sprawiały, że czułam się, jakbym piła coś chłodnego i słodkiego, coś zakazanego. Myślałam o czarnej wilczycy z Centrum Natury, uwięzionej na zawsze w psio przyjacielskiej pozie, i powtórzyłam ten fragment referatu jeszcze raz, tym razem wolniej, tak jakby to była poprawka do konstytucji.

Po wszystkim jeden z sędziów uniósł w górę ołówek.

— Ale... muszę zapytać. Jest coś, czego nie wyjaśniłaś zbyt dobrze. Co wilki mają wspólnego z historią *ludzi*?

Wtedy zobaczyłam przy drzwiach pana Griersona. Trzymał w objęciach swoją kurtkę, jakby właśnie wszedł, i widziałam, jak pochwycił spojrzenie sędziego i wzruszył ramionami. To najsubtelniejsze możliwe wzruszenie ramion, tak jakby chciał powiedzieć: *Dzieciaki... Co można z nimi zrobić? Co można zrobić z nastoletnimi dziewczętami?* Wzięłam głęboki oddech i spojrzałam ze złością na nich obydwu.

— Wilki nie mają nic wspólnego z ludźmi. Tak naprawdę, jeśli tylko mogą, starają się ich unikać.

* * *

Dali mi nagrodę za oryginalność w postaci bukietu goździków ufarbowanych na zielono z okazji dnia świętego Patryka. Potem pan Grierson chciał wiedzieć, czy powinniśmy załadować sosnową gałąź na tylne siedzenie jego auta razem z plakatem, nim wyruszymy w drogę powrotną do szkoły. Byłam przygnębiona i pokręciłam głową. Zwycięzczyni, siódmoklasistka w garsonce, właśnie pozowała do zdjęć razem z swoim namalowanym akwarelami obrazem tonącego okrętu SS Edmund Fitzgerald. Zapięłam płaszcz, po czym podażyłam za panem Griersonem, wlokącym opadającą gałąź w stronę bocznego wyjścia. Rzucił nią jak oszczepem w ziarnistą pokrywę śniegu.

— To jest jak *Gwiazdka Charlego Browna* — powiedział ze śmiechem. — Aż mam ochotę obwiesić ją łańcuchami.

Pochylił się, by strzepnąć igły ze spodni, a ja bezwiednie wyciągnęłam rękę i też przesunęłam nią — *szur, szur* — po jego udzie. Cofnął się lekko, wygładził spodnie i roześmiał się niezręcznie. Mężczyźni potrafią być tak niezdarni, jeśli chodzi o seks. Tego dowiedziałam się później. Wtedy nie widziałam seksualnego podtekstu w tym, co zrobiłam. Niech to będzie jasne. Chodziło bardziej o czyszczenie albo oblaskawianie psa, patrzyenie, jak najpierw sierść na jego karku się jeży, a potem opada — i oto masz pupila.

Oblizalam wargi jak Lili Holburn, niewinnie, niczym lania.
— Panie Grierson, czy mógłby pan odwieźć mnie do domu?

* * *

Zanim wyjechalismy ze szkoły w Whitewood, pan Grierson wrócił do środka po mokry papier, żeby owinąć nim lodyżki goździków. Potem ułożył mi bukiet w ramionach, ostrożnie, jakby to było jakieś niemowlę, tylko roślinne. Gdy jechalimy dwadzieścia sześć mil z Whitewood do domu moich rodziców, patrzyliśmy, jak burzowy wiatr zrywa monstrealne skorupy lodu z drzew, i to też stało się częścią tej drogi, ta nadchodząca w zwolnionym tempie katastrofa. Nawiew na szyby w samochodzie pana Griersona nie działał zbyt dobrze i otarłam szybę brudnym mankietem kurtki.

— Tu skręcamy? — zapytał, jadąc wzdłuż Still Lake Road.

Odrywał siekaczami paski skóry z warg. Nawet w zapadającym zmierzchu widziałam pęknięcie na jego wardze, krwiste, lecz jeszcze nie krwawiące. Z jakiegoś powodu mnie to cieszyło. Miałam wrażenie, jakbym to ja mu to zrobiła — referatem o wilkach albo igłami z gałęzi sosnowej.

Zakręt w stronę domu moich rodziców był nieodśnieżony, jak zwykle. Pan Grierson zatrzymał się na skrzyżowaniu i oboje pochyliłimy się do przodu, by zerknąć przez szybę w górę stromego, zaśnieżonego wzgórza. Gdy spojrzalam na niego w aucie, jego odsłonięte gardło wyglądało tak bezbronne i miękko jak odsłonięty brzuch, więc nachyliłam się i pocałowałam go tam. Szybko, szybko.

Wzdrygnął się.

— A więc to tam? — zapytał, podciągając zamek kurtki pod szyję i wciągając szyję w ramiona. Na wzgórzu widać było oświetlone okna domku moich rodziców i na nich skupił uwagę, bo była to pierwsza wyróżniająca się rzecz w polu widzenia. — To jest to miejsce, gdzie kiedyś mieszkała sekta, prawda? Słyszałem o nich dziwne rzeczy. To twoi sąsiedzi?

Oczywiście on tylko szukał tematów do rozmowy — ale i tak ściśnęłam mocniej goździki i poczułam się otwarta niczym rozlupana szczapa na rozpalkę.

— Nie szukają towarzystwa.

— Tak? — Myślamy był gdzie indziej.

Deszcz ze śniegiem walił o szyby, ale nie było tego widać, bo znowu pokryła je para.

— Odwiozę cię pod dom — powiedział, wrzucając bieg i skręcając kierownicą. Widziałam, że był zmęczony odpowiedzialnością za mnie.

— Stąd już dojdę — odparłam.

Sądziłam, że jeśli walnę drzwiami dostatecznie mocno, to pan Grierson może pójdzie za mną. Tak to jest, jak się ma czternaście lat. Pomyślałam, że może jeżeli podbiegnę kilka kroków w śniegu, to ruszy za mną — może, żeby złagodzić swoje poczucie winy, a może, aby upewnić się, że bezpiecznie dotrę do domu, albo żeby wetknąć swoje ubrudzone kredą ręce historyka pod moją kurtkę, cokolwiek. Zamiast pod górę ruszyłam w stronę jeziora. Wyszłam na lód w zacinającym deszczu, ale gdy się obejrzałam, jego samochód właśnie starannie zawracał, omiatając światłami drzewa.

* * *

Skandal z Griersonem wybuchł parę miesięcy po tym, jak jesienią zaczęłam szkołę średnią. Usłyszałam plotki, nalewając komuś kawę, gdy pracowałam na pół etatu jako kelnerka w restauracji w miasteczku. Oskarżono go o pedofilię i przestępstwa na tle seksualnym w poprzedniej szkole, gdzie pracował, i natychmiast wyrzucono go z naszej szkoły — w jego poprzednim mieszkaniu w Kalifornii skonfiskowano stos nieprzyzwoitych zdjęć. Tego dnia po pracy wzięłam swoje napiwki i poszłam do baru na tej samej ulicy, gdzie z automatu ustawionego w holu kupiłam pierwszą w życiu paczkę papierosów. Wiedziałam na podstawie doświadczeń z paroma papierosami, które

ukradłam w domu, żeby się nie zaciągać do końca podczas odpalania. Jednak gdy zanurkowałam w wilgotne krzewy za parkingiem, lzy napływały mi do oczu i zaczęłam kaszleć, czując, jak w piersiach wzbiera paskudna wściekłość. Przede wszystkim czułam się oszukana. Czułam, że dostrzegłam coś w naturze pana Griersona i że mnie okłamał, ignorując to, co zrobiłam w jego samochodzie, i udając, że jest lepszy niż w rzeczywistości. Zwykły nauczyciel. Przypomniało mi się, że pan Grierson zaciągnął zamek, ukrywając swoją szeroką, ciepłą szyję pod kołnierzem kurtki. Pomyślałam o jego stęchłym zapachu, gdy nachyliłam się ku niemu, tak jakby przepocił ubrania i potem wysechł w zimowym powietrzu. Myślałam o tym wszystkim i w końcu poczułam do niego jedynie niekontrolowany przyływ współczucia. Wydawało mi się to nie w porządku, że aby stać się kimś innym, nie wystarczy próbować z całych sił albo powtarzać to sobie raz po raz.

* * *

Gdy miałam sześć lub siedem lat, moja mama posadziła mnie w miednicy do kąpielni w bieliźnie. Był późny letni poranek. Promień słońca oświetlił jej twarz. Pokropiła mi głowę wodą z kubka do odmierzania.

— Chciałabym wierzyć w te bzdury — oznajmiła.

— Co powinno się wydarzyć? — Drżałam z zimna.

— Dobrze pytanie — zauważyła. — Jesteś jak świeży garnek ryżu. Zaczynam z tobą od samego początku.

* * *

Tego wieczoru, gdy pan Grierson mnie podwiózł, nie miałam ochoty wracać do domu. Pomyślałam sobie — z przyjemnością, czując jakby naszyjnik z haczyków w gardle, kiedy przelykałam ślinę — że kruchy lód na jeziorze mógłby się pode mną załamać i poszłabym pod wodę. Moi rodzice nie zaczęliby się martwić zbyt szybko, może dopiero rano. Matka każdego wieczoru zasypiała, szyjąc koldry dla więźniów,

a tata spędzał wieczory, zbierając drewno po drugiej stronie jeziora, gdzie wycięto drzewa pod działki na sprzedaż. Nie miałam nawet pewności, czy byli moimi prawdziwymi rodzicami, czy po prostu jedynymi, którzy zostali, gdy wszyscy inni poszli na studia lub do pracy w biurach w Bliźniaczych Miastach*. Byli bardziej jak przyrodnie rodzeństwo niż jak rodzice, chociaż byli dla mnie dobrzy, zawsze — co w jakiś sposób było gorsze niż wszystko inne. Gorsze niż kupowanie płatków za klepaki, gorsze niż przyjmowanie używanych ciuchów po sąsiadach, gorsze niż to, że nazywano mnie Komuchem czy Dziwadłem. Tato zawiesił dla mnie na olbrzymiej topoli huśtawkę, gdy miałam dziesięć lat. Mama wycinała mi lopianowe rzepy z włosów. A jednak, tej nocy, kiedy pan Grierson mnie odwiózł, mściwie myślałam sobie, czekając, aż moje ciało przebiję lód: *I po ryżu, mamo. Cały garnek stracony.*

* * *

Po tym, jak poszłam do dwuletniego kolegium zawodowego, z którego wyleciałam, i jak zaczęłam pracować dorywczo w Bliźniaczych Miastach, natrafiłam na krajową bazę sprawców przestępstw na tle seksualnym. Okazało się, że można tam wpisać nazwisko i śledzić taką osobę po całym kraju. Można prześledzić czyjś czerwony szlak na mapie, jak przenosi się z miasta do miasta, z Arkansas do Montany, szuka kolejnych beznadziejnych mieszkań, trafia do więzienia i znowu wychodzi. Można sprawdzać, jak ci ludzie próbują przybrać nowe nazwisko i zostają zdemaskowani, można czytać masę nienawistnych postów w internecie za każdym razem, gdy to się stanie. Można obserwować święte oburzenie. Można patrzeć, jak próbują zaczynać wszystko od nowa. Można śledzić ich aż do południowej Florydy, do bagien, gdzie wśród namorzynów otwierają sklep z jakimś badziewiem i czym popadnie. Sprzedają wypchane kaczkę, rdzewiejące lampiony,

* Ang. *Twin Cities* — Minneapolis i St. Paul, licząca ponad trzy miliony mieszkańców aglomeracja miejska — *przyp. tłum.*

falszywe zęby rekinów, tanie złote kolczyki. Można zobaczyć to wszystko, bo ludzie uaktualniają swoje posty i podają wszystkie informacje. Tak wiele osób to obserwuje. Ciągłe są aktualizacje. Piszą: „Czy powinniśmy kupić mapę od kogoś, kto był skazany za przestępstwa seksualne?” i wydaje się to dwuznacznym etycznie pytaniem. „Czyż nie mam konstytucyjnego prawa powiedzieć mu, że nie chcę go tutaj, z jego pocztówkami za pół ceny?”. Ludzie piszą: „Czyż nie mam prawa powiedzieć mu to prosto w pieprzoną twarz?”. „Za kogo on się uważa?” — pytają.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion

Dorastanie może być trudne i bolesne, zwłaszcza w świecie, który z każdej strony odrzuca młodego człowieka. Co by było, gdyby czternastoletnia Madeline zwana Lindą wychowała się w normalnej rodzinie, dobrze знаła swoich rodziców i miała pewność, że jest dla nich najważniejsza na świecie? A gdyby znalazła bratnią duszę wśród rówieśników i mądrego mentora wśród nauczycieli? Wreszcie, co by się stało, gdyby do domu po drugiej stronie jeziora wprowadziła się zwykła rodzina?

Odpowiedzi na te pytania muszą pozostać nieoczywiste. Rodzice dziewczyny, buntując się przeciw systemowi, wychowywali ją w komunie, lecz nie poświęcili jej wystarczająco dużo uwagi i zaangażowania. Rówieśnicy w szkole konsekwentnie Lindę odrzucali i dręczyli w dokuczliwy sposób. Kiedy więc w domu naprzeciw jeziora zamieszkali nowi sąsiedzi, którzy od początku okazywali jej sympatię i akceptację, Linda poczuła się, jakby od zawsze była jedną z nich. Wkrótce zaczęła opiekować się ich synkiem — czterolétnim Paulem. Gdy zapragnęła utwierdzić się w przekonaniu, że nareszcie znalazła swoje miejsce, okazało się, że musi zmierzyć się z czymś mocno osobliwym, stanąć twarzą w twarz z tajemnicą i dokonać wyboru, którego konsekwencje będą dla niej nie do przewidzenia.

Powieść **Historia wilków** znalazła się w finałowej szóstce **Nagrody Bookera 2017**, czyli najbardziej prestiżowej nagrodzie literackiej w Wielkiej Brytanii przyznawanej za najlepszą powieść anglojęzyczną. Ta z pozoru prosta historia rozwija się w wiele różnych wątków, opisanych oszczędnym, precyzyjnym językiem. To opowieść, która toczy się spokojnym biegiem nizinnej rzeki, niepokojąco wciąga, wytrąca z równowagi i pozostawia w stanie emocjonalnego niedosytu. Czytając ją, dowiesz się, jak na życie dorosłej kobiety wpływają nie do końca świadome wybory, których dokonywała jako odtrącona nastolatka. Wystarczy jeden rok, aby wszystko się zmieniło — nieodwracalnie...

 **editio**

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
👉 <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
👉 <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
👉 <http://editio.pl/nowości>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-4645-1



Cena 39,00 zł